TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STR., CHICAGO ILL.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie.. $1.00.
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii........ $1.50.
PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JE[DYN]IE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 15. Chicago, Ill., Czwartek, 14-go Kwietnia, 1898. Rok XII.

Książę Srebrny.

POWIEŚĆ Z CZASÓW IWANA GROŹNEGO

HR. TOŁSTOJA.

(Z rosyjskiego przełożył W. Grajnert).

(Ciąg dalszy).

— Tak, kniaziu, tak duszo moja, Bóg świadkiem, że cię kocham! jeszcze jeden kubek; niechaj giną wszystkie Tatary, co się na Rusi zostali!

Srebrny miał do wina dobry łeb, lecz po drugim puharze myśli mu się zaczęły plątać. Czy napój był mocniejszy, czy Basmanow wmięszał coś do niego, dość, że kniaziowi zamąciło się w głowie: żadnego przedmiotu nie mógł już rozróżnić, słyszał jeno szaloną pieśń, gwizdanie, tupotanie i głos Basmanowa:

— Żywo chłopcy! we śnie śpiewacie? czy co! Za umarłych się łajdaki modlicie?!

Gdy Srebrny przyszedł do siebie, pieśniarze precz jeszcze wyciągali baranim głosem, a sam kniaź na poły leżał, na poły siedział na perskich poduszkach. Basmanow wraz ze swym strzemiennym chciał przemocą włożyć nań kobiecą spódnicę.

— Wdziej płaszcz na siebie, bojarze — mówił opricznik — na dworze już ciemno i chłodno.

Pieśniarze przez ten czas odpoczywali.

W oczach Srebrnemu jeszcze się mroczyło, gotów był ubrać się w spódnicę, myśląc, że to jego płaszcz, gdy nagle wśród panującej ciszy rozległo się żałosne wycie.

— A to co? — spytał z gniewem Basmanow.

Strzemienny wyszedł z namiotu; po chwili wrócił i rzekł:

— To pies wyje na mogile Skuratowa.

— Daj tutaj łuk i strzałę, ja go nauczę nam przerywać!

Lecz przy imieniu Skuratowa Srebrny zupełnie otrzeźwiał.

— Poczekaj, Fedorze Aleksieiczu — powiedział, wstając — to Bujan Maksyma; nie tknij go, bo on mnie woła na mogiłę brata, zanadtom się z tobą zahulał, czas w drogę!

— Włóż-że wprzódy płaszcz, kniaziu.

— Nie na mnie krojony — odpowiedział Srebrny, poznając spódnicę, którą mu podawał Basmanow — noś go sam, jakeś dotąd nosił.

I nie czekając na odpowiedź, splunął i wyszedł z namiotu.

Posypały się za nim przekleństwa Basmanowa, na które nie zwracając uwagi, doszedł do mogiły Maksyma, zmówił tam pacierz za jego duszę i w towarzystwie Bujana przyłączył się do rozbójników, którzy z Pierścieniem na czele już wypoczywali przed rozpalonemi ogniskami.

XXVIII.

Rozstanie.

O świcie Pierścień zbudził bandę.

— Chłopcy — rzekł — żegnajcie! Idę znów na Wołgę. Nie przeklinajcie, jeżelim wam co złego uczynił.

Tu Pierścień skłonił się rozbójnikom w pas.

— Atamanie! — ozwali się jak jeden głos opryszkowie — nie porzucaj nas, dokąd pójdziemy bez ciebie?

— Idźcie z kniaziem, chłopcy, za to, coście wczoraj uczynili, na pewno car wam daruje winy i znów możecie się stać uczciwymi ziemianami. Kniaź was nie porzuci.

— Dzielne zuchy! — zawołał Srebrny — dałem carowi słowo nie ukrywać się od jego sądu. Wiecie, żem nie dobrowolnie wydostał się z więzienia. Teraz powinienem dotrzymać przysięgi, zanieść carowi swą głowę. Czy chcecie iść ze mną?

— Żali on nam przebaczy? — pytali rozbójnicy.

— To zależy od woli boskiej, nie chcę was mamić; może przebaczyć, może i nie. Pomyślcie, naradźcie się między sobą i powiedzcie mi, kto idzie, kto zostaje?

Rozbójnicy spojrzeli po sobie, odeszli na bok i zaczęli radzić półgłosem.

Za chwilę wrócił do Srebrnego.

— Idziemy za tobą, jeśli ataman nas porzuci — rzekli.

— No chłopcy — powiedział Pierścień — mnie nie proście na próżno; dosyć pohulałem tutaj. I poróżniliśmy się trochę; a porwany sznur, wiąż go jak chcesz, zawsze będzie miał węzeł. Idźcie z kniaziem chłopcy, lub wybierzcie sobie innego atamana, ale lepiej, usłuchajcie mej rady, idźcie z kniaziem, nie może być, żeby car wam wszystkiego nie odpuścił za dzień wczorajszy.

Rozbójnicy znów poczęli się naradzać, i wkrótce rozdzielili się na dwie części. Większa podeszła do Srebrnego.

— Prowadź nas — powiedzieli — niech się nam stanie, co i tobie.

— A tamci jakżeż? — spytał Srebrny.

— Wybrali na atamana Chłopkę; my z nim nie chcemy.

— Tam tylko gorsi się ostali — szepnął Pierścień księciu — i nie tak się bili wczoraj jak twoi.

— No a ty? za nic nie pójdziesz ze mną? — rzekł Srebrny.

— Nie, kniaziu, mnie car nie przebaczy, nie takie są moje winy! I przyznam ci się szczerze, zatęskniłem okrutnie za Jermakiem Timofeiczem. Który to rok jużem go nie widział! Żegnaj, książę, nie przeklinaj!

Srebrny potrząsł rękę Pierścienia i uściskał go szczerze.

— Żegnaj, atamanie, żal mi cię; szkoda, że idziesz na Wołgę, nie powinienbyś się tem zajmować.

— Kto wie! — odparł Pierścień i oczy dziwnie mu się jakoś zaświeciły — Bóg litościwy; może nie zawsze będę tem, czem teraz jestem.

Rozbójnicy gotowali się do wymarszu.

Gdy wstało słońce, na brzegu rzeki nie było już widać ani namiotu ani ludzi Basmanowskich. Fedor Aleksieicz wyruszył jeszcze nocą, aby pierwszy przyniósł wiadomość carowi o otrzymanem zwycięztwie.

Żegnając się z towarzyszami, Pierścień zobaczył koło siebie Mitkę.

— Żegnaj i ty, kochany capie — rzekł wesoło — zasłużyłeś też się wczoraj carowi za czterech, powinien ci on to pamiętać!

Ale Mitka zrobił głupią minę i zaczął głaskać głowę, niby chcąc coś powiedzieć.

— No co? — spytał Pierścień.

— A nic — odezwał się Mitka i znów pomacał głowę jedną ręką, a drugą wziął się za bok.

— Kiedy nie, to nie — i Pierścień już odszedł, gdy Mitka nabrawszy odwagi zawołał:

— Atamanie, hej atamanie!

— He?

— Ja do słobody nie chcę.

— Dokądże chcesz?

— A z tobą.

— Ze mną nie można! Idę na Wołgę.

— To i ja idę na Wołgę.

— Dla czegoż nie z kniaziem?

Mitka wyciągnął jedną nogę naprzód i jakoby ze wstydem począł patrzeć na swój łapeć.

— Opryczników się boisz, czy co? — spytał żartobliwie Pierścień.

Mitka brał się to za głowę, to za boki, to za pas, lecz nic nie odpowiadał.

— Mało ich razy widziałeś? zjedli cię, hę?

— Kobietę wzięli — powiedział od niechcenia Mitka.

Pierścień się rozśmiał.

— Widzisz go! nie może im zapomnieć! To idź z Chłopką!

— Nie chcę — odrzekł Mitka — muszę iść z tobą na Wołgę.

— Kiedy ja nie idę prosto na Wołgę.

— I ja nie idę prosto.

— A dokądże idziesz?

— Dokąd ty, dotąd i ja'

— Eh! przylepiłeś też się jak smoła! Wiedz o tem, że wprzódy muszę być w Słobodzie.

— A po co? — spytał Mitka i wytrzeszczył oczy na atamana.

Pierścień zaczynał już tracić cierpliwość.

— Po co? po co? po to, że przeszłego roku gryzłem tam orzechy i zapomniałem wziąść z sobą łupiny.

Mitka popatrzał nań z zdziwieniem, lecz w tej chwili się uśmiechnął i roztworzył gębę do samych uszu, zmarszczył czoło nad oczami i nadał swej twarzy najchytrzejszy wyraz, jak gdyby chciał powiedzieć: mnie bratku nie tak łatwo naciągnąć! wiem ja bardzo dobrze, że do Słobody idziesz nie po łupiny orzechowe, lecz po coś innego!

Jednakże nie wydał się z myślą, rzekł jeno z uśmiechem:

— No to i ja z tobą!

— Co z nim zrobisz? — Pierścień wzruszył ramionami — widać, już się odemnie nie odczepi; wreszcie, pal cię licho, chodź ze mną, durniu, ale potem nie narzekaj jak cię powieszą!

— A niech powieszą, odpowiedział uśmiechnięty Mitka.

— Dobrze, chłopie; za to cię lubię! Żegnajże się prędzej z towarzyszami i w drogę!

Zaspana twarz Mitki nie ożywiła się wcale, gdy niezdarnie zaczął podchodzić do opryszków i każdego, chcącego lub nie, cmokać po trzy razy w twarz, tego chwytając za ramiona, tamtego za głowę.

— Atamanie — zawołał Srebrny — więc w jedną idziemy drogę?

— Nie, bojarze, którędy ja przejdę, ty nie przejedziesz. W Słobodzie będę prędzej od ciebie i gdybyśmy się spotkali, udaj, że mnie nie znasz; wreszcie będę się starał odejść przed twoim przyjazdem, muszę tylko jedną rzecz załatwić.

Srebrny się domyślił, że Pierścień ma coś ukrytego lub zakopanego w okolicach Słobody i przestał nalegać.

Wkrótce dwa oddziały dążyły w dwóch różnych kierunkach.

Większy, pod Srebrnym, człapał brzegiem rzeczki po zielonej łące, na której znać było jeszcze ślady wczorajszej bitwy. Bujan szedł z tyłu ze zwieszoną głową i ogonem; często przybiegał do Srebrnego, smutnie wył, potem obracał się na świeży grobowy pagórek, póki ten w końcu nie schował się za wysoką trzciną. Drugi, mniejszy oddział podążał za Chłopką.

Pierścień udał się w trzecią stronę, a za nim leniwym krokiem i kiwając się z boku na bok, szedł Mitka.

I znów dawna cisza zaległa szeroki step, jak gdyby nic jej od wieków nie przerywało. Tu i tam pasły się konie tatarskie, a broń pogan połyskała w zgliszczach pożaru. Skowronki szczebiotały, kurki wodne się odzywały, a małe ptaszyny trzepotały skrzydełkami, przelatując z trzciny, na trzcinę, lub zawodząc pieśni siadały na przerzate strzały co niby kwiaty sterczały na zielonej łące.

XXIX.

Oczne stawiennictwo.

W kilka dni po otrzymanem zwycięztwie nad Tatarami, Iwan Wasiliewicz przyjmował w swej sypialni Basmanowa, który tylko co przybył z Razaniu. Car wiedział już o szczegółach bitwy, lecz Basmanow sądził, że pierwszy mu o niej donosi. Chciał przeto sławę zwycięztwa przypisać sobie samemu, i tak podziałać na Jana swem opowiadaniem, by znowu wejść w dawne łaski.

Jan Wasiliewicz słuchał go z uwagą, to przebierając koronkę, to spozierając na swój brylantowy pierścień, co się mieścił na wskazującym palcu; a gdy Basmanow na zakończenie trząsnął włosami i dodał z wesołą miną:

— Cóż, carze, chyba postaraliśmy się dla twej carskiej mości! — Jan podniósł oczy i uśmiechnął się.

— Nie żałowaliśmy siebie — rzekł jeszcze Basmanow — i ty carze, nie skąp nagrody dla sługi twego.

— A cóżbyś ty tak, Fedio życzył sobie? — spytał Jan z udaną łaskawością.

— Mianuj mnie choć okolniczym, żeby ludzie nie wytykali palcami.

Car rzucił nań bystre spojrzenie.

— A czem mam nagrodzić Srebrnego? — rzekł nagle.

Basmanow trochę się zmieszał, lecz zwykła czelność znów mu przyszła na pomoc.

— Tego co z więzienia uciekł? — odpowiedział — a czemżeż, jak nie szubienicą! przecieć ze swymi rozbójnikami omal nie pokpił sprawy. Gdyby był nie spłoszył Tatarów, wszystkich byśmy żywcem wyłapali.

— Czyż tak? A ja myślę, że Tatarzy by cię sami w sidła schwycili, jak wtedy pamiętasz. Przecieć to dla ciebie nie pierwszyzna!

— Oj nie pierwszyzna cierpieć za ciebie i niewdzięczności się najeść — mówił hardo Basmanow. — Godunow, Maluta albo Wiaziemskij nie po mojemu ci służą, a nagród to im nie żałujesz!

— Oj rzeczywiście że nie po twojemu! co ich skakanie warte naprzeciw twego!

— Wielki carze prawosławny — odrzekł Basmanow tracący cierpliwość — jeżeli ci się nie podobam, uwolnij mnie zupełnie.

Basmanow liczył, że Jan nie widząc go tak długo, będzie go koniecznie zatrzymywał w Słobodzie, ale stało się inaczej; do nieobecności Fedory car już przywykł, a inni oblubieńcy, szczególniej Maluta, postarali się przez ten czas odwrócić serce Jana od Basmanowa, który się przeliczył w swem wyrachowaniu Car zdawał się cieszył z jego zakłopotanego położenia.

— Ha, trudna rada — rzekł z udaną goryczą w sercu — chociaż mi smutno będzie bez ciebie, biednemu sierocie, chociaż i sprawy państwa mogą się przez to pokrzyżować, ale cóż robić, może się jeszcze jako utrzymam na tym Bożym świecie z swoją słabą głową! idź sobie, Fedia, na wszystkie cztery wiatry! Przemocą nie śmiem cię zatrzymywać.

Basmanow nie mógł już dłużej ukryć swej złości. Zbałamucony dawnemi dobremi stosunkami z Janem, dał jej zupełną wolę.

— Dzięki ci, carze, dzięki, za twój chleb — sól! Dzięki że wyganiasz sługę swego, jak podłego psa! Będę — dodał nieostrożnie — będę chwalił na Rusi twoją wdzięczność! Niechżeż drudzy ci służą, jak służyła Fedora! I ja jestem grzesznym człowiekiem, ale czarownikiem nigdy nie byłem i nie będę!

Iwan Wasiliewicz się uśmiechał, ale przy ostatnich słowach wyraz twarzy mu się zmienił.

(Ciąg dalszy nastąpi).

CZARNA PLAMA.

POWIEŚĆ Z CZASÓW NIEMIECKIEJ GRYNDERKI.

(Ciąg dalszy.)

Bankier opuścił głowę. Czy mógł spełnić prośbę przyjaciela, sam stojąc nad przepaścią bankructwa? A jednak odmówić tej drobnej pożyczki, byłoby to samo, co zdradzić tajemnicę przed czasem.

— A nie chciałbyś pan tego papieru sprzedać, kochany panie Gerhardzie?" zapytał bankier po chwili namysłu.

— Za nic w świecie, panie Kirstner; on to podtrzymuje nadzieje moje, życzenia moje — wszakże nań przypaść może jaka znaczna wygrana. Jakbym ja mógł wywdzięczyć się mojemu Emilowi, gdybym. — —

— Wiesz pan, że dziś z rana było losowanie walorów?

— Wiem, panie Kirstner, i z niecierpliwością wyglądam listy wygranych. Ale wiem też, że w pańskich rękach papier dobrze jest zachowany.

— A więc wystawię panu rewers na ten walor. Siadaj pan.

Bankier wstał, poszedł do biórka i napisał rewers, potem wyjął z prywatnej kasy sto talarów.

Drzwi od kantoru otworzyły się powtórnie i znowu pojawił się Lichtman. Miał on w ręku depeszę, którą położył na pulpit i znowu się oddalił.

Była to lista wylosowanych papierów austryackich.

— Przepraszam — na chwilę, panie Gerhard.

Drżącą ręką wyjął bankier małą książeczkę z szuflady i począł porównywać numera swych papierów z wylosowanemi. Coraz posępniejsze stawało się jego oblicze, coraz niżej skłaniała się głowa. Wtem zadrgnął, jakoby prądem elektrycznym tknięty, zaćmiło mu się przed oczami, konwulsyjnie uchwycił się poręczy krzesła — spoglądał to na listę, to na walor, który leżał przed nim. Drżał jakoby we febrze; ujrzał przed sobą gniewną postać żony, która mu krzyczała do ucha: "Oszukaj świat, poświęć honor własny, aby uratować honor domu!"

Wyciągnął chustkę z kieszeni i otarł pot z czoła. Potem zwrócił się do dawniejszego swego buchaltera.

— Policz pan pieniądze, panie Gerhard, to należy do porządku.

— Położył dwie zwinięte paczki pieniędzy na stole, który stał przy ścianie naprzeciwko biórka. Potem pobiegł do biórka; w febrycznej gorączce, z wzrokiem wlepionym na Gerharda, podsunął napisany rewers pod jednę z książek, a potem drżącą ręką napisał rewers nowy

— Wszystko w porządku panie Kirstner; całem sercem panu dziękuję.

— A tu oto rewers na ów walor, panie Gerhard; ale teraz — pan nie wiesz, ile dziś mamy zatrudnienia — najmocniej przepraszam. — —

— Ja przepraszam, panie Kirstner. Żegnam pana. Jeszcze raz szczerze dziękuję.

Starzec rewers złożony schował do kieszeni i oparty na kiju, wyszedł jak tylko mógł najspieszniej. Pilno mu było pocieszyć starego przyjaciela.

* * *

— Panie Lichtman! Panie Lichtman!

Głos bankiera, wołającego przez otwarte drzwi, był tak ochrypły, tak dziwny, że wszyscy urzędnicy spojrzeli po sobie, ale pod surowem spojrzeniem Lichtmana natychmiast zabrali się do pracy.

Oblicze bankiera było w najwyższym stopniu mienione, policzki zarumienione były, jakoby w gorączce febrycznej, a łagodny jego wzrok iskrzył się nienaturalnym blaskiem.

— Na Boga, panie Kirstner, cóż się stało?

— Szczęście, przyjacielu, wielkie szczęście! Pan Bóg nam zesłał ratunek! Nadzie-

ja pana nie zawiodła — patrz pan ten papier, do mnie on należy, a nikt nie ma prawa do niego — a teraz porównaj pan numer jego z listą wygranych. Moje dziecię, moja Marta nie będzie wystawioną na hańbę, na poniżenie, firma Kirstnera znowu na mocnych stanie nogach. !

Buchalter starannie przejrzał papier i listę.

— Bogu najwyższemu niech będą dzięki, — rzekł z niekłamaną radością.

Zostaniesz pan teraz przy mnie, panie Lichtman, — rzekł bankier, - nie mogę być samotnym; najgwałtowniejsze interesa dziś wspólnie załatwimy; zawiadomię tylko małżonkę o tem szczęściu, które nas spotkało, a za dziesięć minut powrócę.

ROZDZIAŁ IV.

W godzinę potem zamknięto kantor. Urzędnicy rozeszli się do domów, a z wyjątkiem buchaltera, który pracował w biórze szefa, pozostał tylko jeszcze sługa handlowy, który w kantorze i biórach uprzątał.

Sługa spojrzał zdziwiony, bo w niezwykłym czasie drzwi się otworzyły i stary Gerhard widocznie zaniepokojony, wszedł powtórnie do kantoru.

— Czy jest jeszcze pan Kirstner? — zapytał spiesznie.

— Jest, panie Gerhard, i pracuje właśnie z panem Lichtmanem w swem biórze; ale nie wolno mi nikogo wpuszczać, bo pilną mają pracę.

— A więc poproś tu, proszę cię, pana Lichtmana — z jednym z obydwóch muszę pomówić — powiedz, że mam ważny, bardzo ważny interes.

Sługa spełnił prośbę starca i zapukawszy z cicha do drzwi, wszedł do bióra bankiera.

Bankier zbladł jak ściana, słysząc, że Gerhard powrócił. Nachylił się nad książką i rzekł:

— Niepodobna mi odrywać się od pracy — idź pan, panie Lichtman, i zobacz, czego chce.

Lichtman wyszedł do kantoru i zastał tam dawniejszego swego kolegę mocno zaniepokojonego.

— Muszę koniecznie pomówić z panem Kirstnerem, kochany, panie, — rzekł — nie zabiorę mu wiele czasu. Deponowałem u niego papier, austryacki walor państwowy, a on mi rewers na to wystawił, ale się omylił i zapisał w rewersie inny numer, a nie numer tego waloru, który mu deponowałem. Trzeba to sprostować — to widoczna pomyłka.

Stary Lichtman zastanowił się.

— Dziwna rzecz, zauważył, — ale czemuż pan, odebrawszy rewers, zaraz się jemu nie przypatrzyłeś i nie przekonałeś się, czy numer jest zgodny? Tak się robi po kupiecku.

— Cóż pan chcesz? Jestem stary i słaby -- czyż mam o wszystkiem pamiętać? Czyż mogę przypuszczać że pan Kirstner w tak ważnej sprawie będzie się mylić? Ale jedna minuta wystarczy do naprawienia błędu; pan Kirstner się przekona że ma ten papier, który mu wręczyłem, a który na tej karcie wypisałem, aby go panu doręczyć dla sprostowania rzeczy, w przypadku, gdybym pana Kirstnera nie był zastał w domu.

To mówiąc podał buchalterowi karteczkę. Z roztargnieniem spojrzał na nią Lichtman, ale tejże samej chwili zmieniło się jego oblicze.

— Więc papier z tym numerem pana jest własnością? — zapytał drżącym głosem.

— Z największą pewnością! Moją jest własnością! Nikt o tem nie wie, ani nawet mój syn.

— To rzecz osobliwa: wydajesz pan memu szefowi papier, i nie troszczysz się o to, czy numer na rewersie zgadza się z numerem waloru! a błąd okrywasz dopiero wtenczas, gdy papier, który pan za swą własność wydajesz, wylosowany został z wygraną dwu kroć stu tysięcy reńskich!

Krzyk przerażenia wyrwał się z piersi starca, potoczył się, jakoby piorunem rażony; potem zerwał się spiesznie i zapominając o starości i niedomaganiu, wpadł do bióra bankiera.

Kirstner tymczasem miał czasu dosyć, aby się uspokoić i przybrać spokojny wyraz twarzy. Okropna walka, która się toczyła w jego sercu, gdy słuchając przy

drzwiach, podsłuchał rozmowę Lichtmana z Gerhardem, już przeminęła. Jeszcze w duszy wrzała walka, ale oblicze jego było spokojne. Z niezadowoleniem spojrzał na starca i chciał przemówić, ale Gerhard go wyprzedził!

— Pan się pomyliłeś przy pisaniu rewersu, panie Kirstner, — zawołał z najwyższym niepokojem; — zaklinam pana, oddaj pan mój papier, mój los!

Bankier widocznie był zniecierpliwiony.

— Mój panie Gerhardzie, chętnie panu czyniłem i gotów jestem czynić przysługi, ale otwarcie mówiąc: pan mi przeszkadzasz; zresztą jestem pewien, że rzecz w porządku, że się zgadzają numera na walorze i rewersie — przekonaj się pan sam, oto papier, który deponowałeś.

Były buchalter raz tylko spojrzał na papier.

— Nie, nie, to nie mój papier, — wyjąkał, — to nie mój walor, na który największa padła wygrana. Panie, zlituj się pan, nie drwij pan z biednego starca!

Bankier zwrócił się do swego buchaltera.

— Cóż to ma znaczyć, panie Lichtman?

Buchalter nic nie odpowiedział. Przenikliwy swój wzrok wlepił w pryncypała, a Bogumił Kirstner, filar kupców w stolicy, zarumienił się wobec swego podwładnego.

— Szukaj pan w swych papierach, panie Kirstner, — błagał Gerhard, — walor mój znaleść się musi. Jak Bóg w niebie, w tej chwili na nas patrzy i sądzić nas kiedyś będzie — nigdy, nigdy ten tu papier nie był moją własnością. Boże, ach Boże! Teraz nadeszła chwila, w której synowi wszystko bym mógł wynagrodzić, co dla mnie uczynił — nadeszła chwila, w której się zbogaciłem, a mam być uboższym, jak przedtem?

Oblicze bankiera zasępiało się coraz bardziej; dziwna opanowała go gwałtowność.

— Ten człowiek albo zwaryował, albo też prostym jest oszustem, — zawołał. — Rzecz jest w porządku; tu weźmij pan swój walor, daruję go panu i daruję pożyczone sto talarów — a teraz sobie pan ruszaj, bo mi przeszkadzasz!

— Idź pan, panie Gerhard, pan Kirstner ma racyą, — odezwał się Lichtman łagodnie, nie spuszczając oka ze swego szefa. — Pretensye pana są tem większą obrazą dla dawniejszego szefa pańskiego, że walor, o który chodzi, on posiada, jak mówi, a panu Kirstnerowi też przypada owa wygrana.

Stary Gerhard obrócił oczy w słup, twarz jego wykrzywiła się i z rozpaczliwą wściekłością rzucił się na bankiera:

— Oszuście! Złodzieju!

Przeraźliwie zabrzmiał jego głos, jakoby dźwięk pękającego dzwona — ręce jego opadły, naprężenie muszkułów twarzy ustąpiło, usta się rozwarły i zamknęły, a jako bezwładna bryła padł starzec u nóg swego dawniejszego szefa.

Rozpaczliwie pociągnął bankier za dzwonek i ze wszech stron nadbiegała pomoc. Natychmiast wezwano lekarza, który zbadawszy stan nieszczęśliwego, pokiwał głową:

— Paraliż ruszył biedaka, — oświadczył; — żyć wprawdzie jeszcze będzie, ale cudem chyba odzyska władzę poruszania się i mówienia.

Kilka sekund przedtem, zanim stary Gerhard wpadł do pokoju swego dawniejszego pryncypała, przyszedł Emil, młody nauczyciel muzyki, do domu Kirstnera, i zadzwonił u drzwi, prowadzących do mieszkania bankiera. Było to o zwykłym czasie, w którym Marcie udzielał lekcyi na fortepianie; a chociaż z rozkazu pani Kirstner przy udzielaniu lekcyi zawsze była obecną stara rezydentka, która młodych ludzi argusowemi pilnowała oczami, zaliczał Emil te chwile, które spędzał u boku uwielbianej istoty, do najszczęśliwszych w życiu.

Na schodach drugiego piętra, gdzie były pokoje Marty, stała Zosia z liścikiem w ręku, czytając napisany na nim adres.

— Doprawdy, — rzekła sama do siebie, — wierne pismo naszej panny! Ona samaby nie poznała się na tem, że to nie jej pismo — jestto mistrzowskie dzieło pana porucznika! Ale czemu też panna sama adresów nie pisze? Zresztą, co mnie do tego? — dwa luidory — za to już nie żal się przysłużyć.

Na odgłos dzwonka zadrgnęła przestraszona.

— To on, — rzekła półgłosem, — na szczęście nie ma na dole nikogo, powietrze czyste.

Pospieszyła na dół i otworzyła drzwi.

— Czy panna w domu, Zosiu? — zapytał młodzieniec.

Dziewczyna wzdrygnęła ramionami i zaambarasowała się widocznie.

— Niema jej, panie Gerhard — to jest: w domu ona jest, ale ma migrenę i kazała pana przeprosić. Natomiast mam panu ten liścik. — —

Nie dał dziewczynie dokończyć, ale spiesznie wyrwał jej liścik z ręki. Zaledwie jednakże spojrzał na adres, zbladł jak ściana.

— Zosiu, ten list nie do mnie napisany!

— Ach Boże, co ja zrobiłam! zawołała Zosia z udaną rozpaczą; przemieniłam listy! Błagam, zaklinam pana, nie mów pan nic o tem pannie Kirstner; miałam ten list potajemnie hrabiemu Hallenburg — —

Młodzieniec machnął ręką.

— Wiem dosyć!

Głos jego drżał. Nie wiedząc co robi, rozdarł kopertę i przeczytał:

— Prosiłeś mię, Hrabio, o chwilę rozmowy w cztery oczy, aby nad naszemi zamiarami się porozumieć. Jako narzeczonemu, wolno mi Panu spełnić to życzenie. Pod pozorem migreny nie pozwolę nikogo wpuszczać do siebie, ani tego rozmarzonego nauczyciela muzyki, którego pan zaszczycasz swą zazdrością. — —

List wypadł z ręki młodzieńca.

— A więc tak! Oj prawdę mówił wczoraj wieczorem porucznik, — szepnął drżącemi usty. — Hrabia Hallenburg, a ja — ja. — —

Przeraźliwie brzmiał po sieni dzwonek z bióra bankiera, a z bocznego kurytarza wypadł sługa kantoru z krzykiem:

— Ratunku, panno, wody czemprędzej — ja biegnę po doktora; starego Gerharda ruszył paraliż w biórze pana Kirstnera.

— Mój ojciec!

Najwyższa rozpacz, wszystkie bóle serca objawiły się w tym okrzyku. Czemże była w tej chwili dla niego mniemana zdrada Marty! Obeznany z miejscowością, wpadł od bióra bankiera, który blady i drżący stał nad Gerhardem, leżącym na ziemi i z przerażeniem patrzał na wbiegającego Emila.

— Na Boga, skąd mój ojciec się tu wziął? Co się stało? wyjąkał nieprzytomny prawie.

— Ojciec pana przyszedł tu, — tłumaczył Lichtman, — aby zażądać zwrotu waloru, na który najwyższa padła wygrana, a który jak twierdzi, deponował u pana Kirstnera, ten zaś miał według twierdzenia ojca pana inny walor podsunąć i na ten rewers wystawić. Pan Kirstner atoli zaręcza, że on tylko prawnym jest właścicielem tego papieru.

— I nikt mi tego nie zaprzeczy! Spróbuj pan dochodzić tego sądownie, jeżeli pan zdolny jesteś przypuścić, że jabym mógł kradzież popełnić!

Zjawienie się lekarza i kilka innych osób wstrzymało młodzieńca od odpowiedzi. Bezprzytomnego starca, którego tymczasem złożono na dywanie, podniesiono, aby go zanieść do powozu i zawieść do domu, wtem wpadła do bióra Marta z wyrazem najmocniejszego zaniepokojenia na twarzy.

— Ach Boże, co za nieszczęście! — rzekła przytłumionym głosem. -- Panie Gerhard, ojciec pana — — chciała mówić zwracając się do Emila; ale ten dziwnie na nią spojrzał:

— Gerhardowie, ojciec i syn, nie mają szczęścia w domu Kirstnera, — rzekł z goryczą. A pochyliwszy się ku niej, rzekł dla niej tylko zrozumiale: "Jeżeli tego wieczora nie będziesz się mogła pani rozerwać w towarzystwie narzeczonego, hrabiego Hallenburga, po obecnie przykrej scenie, to moja wina: list dla niego przeznaczony w moje się dostał ręce.

Marta stała oniemiała; nie rozumiała ani słowa z tego, co mówił. Emil zaś ani na nią nie spojrzał, tylko wyszedł za ludźmi, którzy ojca wynosili do powozu. Marta obiema rękami objęła ojca za szyję.

— Pójdź ze mną, ojcze, pójdź tu z tego okropnego miejsca — proszę, błagam cię!

— Zaraz idę, moje dziecko, — rzekł bankier, odsuwając z lekka jej ręce; — mu-

szę tylko jeszcze wypełnić jeden obowiązek, obowiązek święty.

Zwracając się do buchaltera, ciągnął dalej:

— O ile mi wiadomo, nie ma nieszczęśliwy Gerhard majątku. Skoro tylko odbierzemy wygraną kwotę, wypłacisz pan synowi w mem imieniu pięć tysięcy reńskich — —

Stary Lichtman znowu wlepił wzrok w swego szefa, że ten mimowolnie zamilkł.

— To polecenie ktoś inny będzie musiał spełnić, panie Kirstner, — rzekł drżącym głosem, — bo ja proszę, abyś mię pan od tej chwili zwolnił z urzędu buchaltera firmy Kirstner.

— Panie Lichtman!

Był to wykrzyk rozpaczy, dobywający się z ust bankiera.

— I teraz, teraz właśnie chcesz mię opuszczać? — dodał głosem łagodnym.

— Firma Bogumiła Kirstnera jest uratowana, — odrzekł Lichtman smutno; — ja już za stary jestem, abym taki trudny piastować mógł urząd. Zresztą nie widziałbym, na jakie konto zapisać tę sumę, którą — przypadek panu zesłał. Proszę stanowczo o dymisyą!

Bankier tupnął nogą w złości.

— Dobrze więc, idźcie sobie — idźcie sobie wszyscy — — ja was nie potrzebuję — ty mi pozostajesz, Marto, dziecię moje, ty i honor mego domu.

— A honor własny?

Byłże to głos sumienia, czy też głos starego buchaltera, który właśnie skłoniwszy się nisko wychodził z bióra? Ten głos zabrzmiał bankierowi w uszach i brzmiał mu w sercu.

Zbliżyła się noc. W samotnej sypialni bankiera słychać było uderzenie drugiej godziny na zegarze najbliższej wieży. Ciężkie jedwabne firanki nie zupełnie zasłaniały okien, a księżyc w pełni ciekawie zaglądał do komnaty. Blade światło księżyca padło na oblicze bogacza. Bogumił Kirstner nie spał na miękkiem swem posłaniu, oczy miał szeroko roztworzone, a twarz była rozpalona, jak we febrze.

— Druga godzina, — szepnął podnosząc się, — czyż ta noc wiecznie trwać będzie? Mogłem spać dawniej; nawet nad przepaścią bankructwa spałem spokojnie, a teraz, gdy mi przybył ratunek, gdy na nowo firma moja na mocnych stanęła nogach — czemuż dziś spać nie mogę?

Czemu? —

W fantastycznych obrazach przesuwały się przed okiem jego duszy sceny dnia dzisiejszego. Kirstner nie był zepsutym człowiekiem. Gdyby był samotnym w świecie, nie byłaby go żadna potęga nakłoniła do tego, aby się dopuścił kradzieży; ale potężny wpływ, jaki żona jego na niego wywierała, chociaż sam tego nie czuł, wspomnienie na los syna, a jeszcze więcej troska o córkę, przedewszystkiem zaś brak mocnej ufności w Bogu, która jest owocem szczerej wiary i religijności, doprowadziły go do zbrodni. Podobny był do rozbitka, który walcząc z falami morza, spycha towarzysza niedoli z wystającej skały, której się uczepił, aby tylko swoje życie ratować.

A teraz — czemu się zerwał z posłania, jakaż myśl okropna przeszła mu przez głowę? Będąc przez cały wieczór rozgorączkowany i zaniepokojony, zapomniał zupełnie zniszczyć pierwotny rewers, który był wystawił Gerhardowi, a który, gdy się dowiedział o wygranej potajemnie, wsunął pod książkę na biórku. Zresztą nie miał sposobności wydobycia i zniszczenia rewersu, bo od chwili napisania, ani na chwilę nie był samotnym w biórze. Teraz zaś przypomniał sobie z przerażeniem, że rewers ten jeszcze istnieje. Wyskoczył z łóżka, cały zlany potem zarzucił na siebie płaszczyk ranny i zapaliwszy świecę na srebrnym lichtarzu, wyszedł po cichu z sypialni.

Cisza grobowa panowała w całym domu, gdy schodził po schodach wysłanych kobiercami. Lżej teraz odetchnął, bo przeczuwał, jakby szkodliwie oddziałać mógł najmniejszy szelest, najmniejszy przestrach na naprężone jego nerwy. Ale nic się nie ruszało. Bez przeszkody zeszedł na dół, przeszedł kurytarze i wszedł do swego bióra.

Wtem stanął oniemiały na progu z podniesioną w ręku świecą; z przerażeniem spojrzał do koła.

Złodzieje się byli zakradli! Jedno z okien, wychodzących na podwórze, było o-

twarte. Szafy i biórka były pootwierane, zamki oderwane, papiery poprzerzucane. Bezprzytomnie przypadł bankier do papierów. Nie patrząc wcale, jaka wielka była wartość skradzionych papierów i pieniędzy, (walor, na który padła najwyższa wygrana, miał w swej sypialni zachowany, szukał tylko jednego papieru, szukał nieszczęsnego rewersu, który był dowodem jego zbrodni. Coraz więcej drżały jego ręce, coraz błędniej toczył okiem: — rewersu nie było, złodzieje zabrali go wraz z innemi papierami, — honor bogatego bankiera, byt domu i rodziny, był w ręku nieznanych złodziei!

Wartość gotówki skradzionej i papierów nie była zbyt wielka. Z chęcią byłby Kirstner dwa razy tyle poświęcił, gdyby tylko rewers mógł odebrać; ale nic nie pomogło rozpaczanie, nic nie pomogła nawet gorąca modlitwa, którą w trwodze zasyłał do Boga, a która jeszcze do tego była bluźnierstwem!

Znowu usłyszał uderzenie zegara. Chłodny wiatr zawiał przez uchylone okno. Dreszczem przejęty otulił się lepiej płaszczem, usunął wszelkie ślady kradzieży i wyszedł z bióra. Gdy powrócił do sypialni, spojrzał przypadkowo we wielkie zwierciadło, zawieszone pomiędzy oknami, i odskoczył przerażony: — kilkanaście godzin wystarczyło, aby z Bogumiła Kirstnera zrobić starca.

Uśmiechnął się z goryczą.

— Możesz być zadowoloną, Lauro, — szepnął do siebie, — możesz być zadowoloną — świetna pozycya naszego domu uratowana — co ty się o to troszczysz, za jaką cenę?

Scena w biórze bankiera nie pozostała tajemnicą; nikt jednakże nie śmiał bez dowodów posądzać i rzucać kamieniem potępienia na szanowanego dotychczas i poważanego szefa jednej z pierwszych firm stolicy? A potem — kto ma majątek, ten ma słuszność za sobą, tak zawsze sądzą ludzie. Świetny festyn zamknął usta niektórym niechętnym, którym mianowicie dymisya długoletniego buchaltera Lichtmana dała powód do uwag złośliwych; dom bankowy Kirstnera należał jak dawniej dawniej do najpierwszych firm miasta.

I od chwili, gdy zbrodnia do tego posłużyć musiała, aby upadający dom postawić na nogi, zawitało szczęście, jakoby błogosławieństwo złego ducha, w progi bankiera. Najryzykowniejsze spekulacye udawały się, najzawikłańsze interesa rozwijały się pomyślnie, a majątek firmy pomnażał się codziennie i z nim pycha pani Kirstner, urodzonej baronównej Markward, i syna jej, eleganckiego porucznika.

Ale też od tej chwili zmienił się szef firmy nie do poznania. Prędko się zestarzał, a ustawiczny nerwowy go opanował niepokój. On, który zawsze odznaczał się łagodnością, i nigdy względem podwładnych złych nie używał wyrazów, bywał teraz kapryśnym i tyranem nawet, chociaż potem bogatemi darami złe chciał naprawić. Nawet syn i małżonka, w obec których także tak bardzo się zmienił, cierpieli na jego kaprysach; dla Marty tylko był tym co dawniej, w jej towarzystwie tylko odzyskiwał spokój i całą jego pociechą było marzyć o jej szczęściu.

Emil Gerhard od tego dnia już nie postał w domu Kirstnera. Ograniczył swe lekcye tylko na tyle, ile potrzebował do utrzymania domu, a cały swój czas poświęcił troskliwie pielęgnowania chorego ojca.

Marta napisała do niego list, w którym go prosiła o wyjaśnienie tych słów, które jej tego okropnego wieczora powiedział. Słowa, które napisała, były najszczerszym wylewem serca, ale Emil Gerhard ich nie czytał. List ten Marta Zosi kazała zanieść na pocztę, ale po dwóch dniach przyniosła go Zosia, odebrawszy go niby od listowego — list opatrzony był pieczęciami pocztowemi i uwagą, że adresat nie chciał go przyjąć. W milczeniu zniosła ten cios bolesny i niezasłużony — podczas gdy Zosia z uśmiechem oglądała luidora, którego jej porucznik za dopomożenie do powtórnego oszukania siostry wcisnął w rękę. Tem więcej teraz Marta przytuliła się do ojca; oboje czuli, że potrzebną im była wzajemna pociecha, wzajemna miłość. Nie wyjawiali sobie wzajemnie swych cierpień, nie zdradzili ich żadnem słówkiem, ale ich serca się rozumiały, serce przemawiało do serca.

———

ROZDZIAŁ V.

Pół roku upłynęło od tego czasu, gdy razu pewnego służący oznajmił bankierowi, że hrabia Hallenburg pragnie z nim pomówić. Na wieczorkach w domu bankiera był hrabia stałym gościem — Edward i matka jego byli nim oczarowani. Marta była grzeczną, a chociaż postępowaniem swojem nie dawała mu żadnego powodu do jakichkolwiek nadziei, jednakowoż słuchała z zajęciem interesujących jego opowiadań. Tylko sam bankier nie był na niego bardzo łaskaw. Mało on w ogóle brał udziału w zabawach i wieczorkach, które żona jego wyprawiała, a jeżeli czasem pokazał się w towarzystwie, był dla hrabiego widocznie oziębłym. Czy może dla tego, że widział w nim człowieka, który ukochaną córkę chciał mu od serca oderwać, czy też inne miał powody? Nikt nie mógł odgadnąć przyczyny, a pytania żony zbywał krótko.

Zadziwiony przerwał bankier pisanie; zaraz jednakże kazał hrabiego poprosić do biura.

Hrabia pojawił się w tak eleganckiem ubraniu, że wprawił w podziw cały personał kantoru: z głębokim ukłonem zbliżył się do bankiera.

— Przychodzę, panie Kirstner, rozpoczął, aby z ust pańskich usłyszeć decyzyą o szczęściu mem i losie całego mego życia. Wiesz pan, kim jestem, panie Kirstner, z jakiej pochodzę rodziny; zechciej pan przychylić się do mej prośby, aby mi wolno było córkę pańską wynieść do godności hrabiny Hallenburg.

Korzystne to oświadczenie zdawało się nie zadziwiać wcale bankiera; lekki szyderczy uśmiech nawet zaigrał na jego ustach.

— Spodziewałem się tego, panie hrabio, rzekł po chwili; dawał mi to już syn mój do zrozumienia, a i stanowisko, jakie pan w domu moim zajmujesz, kazało mi to przypuszczać. Czy masz pan pewność, że córka moja, Marta, jest panu wzajemną?

Twarz hrabiego świadczyła, że pewien był wygranej.

— Panna Marta, rzekł, nie zrobiła mi dotychczas żadnej nadziei, ale też stanowczego nie dała mi odkosza. Jestem przekonany, że mię i pokocha, skoro tylko nauczy się mnie szanować.

— Szanować — hm, dobrze. Pozostałby do załatwienia jeden jeszcze punkt, to jest; co do interesu. Trzeba panu wiedzieć, że nie dam córce mojej ani fenyga posagu. Wszystko, czego się odemnie spodziewać może, jest przyzwoita wyprawa, a prócz tego dam jej jeszcze śpilkowe wprawdzie dosyć znaczne, aby prywatne swe potrzeby mogła zaspokoić; — — ale cóż ja tam mówię o pieniędzach, które w oczach pana, panie hrabio, nie mają wielkiego znaczenia — są bagatele.

Hrabiego oblicze przedłużyło się znacznie.

— Żadnego posagu? powtórzył zwolna; a czy wolno wiedzieć, co pana, milionowego bogacza, do tego postanowienia spowodowało?

Bankier otworzył biórko i z portfelu wydobył papier.

— Znasz pan ten podpis, panie hrabio?

Hallenburg zbladł.

— Skąd pan masz ten weksel? zawołał. To pomyłka, zaręczam panu, że to pomyłka!

— Czy to też była pomyłka, gdy panu żyd Abraham Seligstein pożyczył pięć tysięcy reńskich za lichwiarskim procentem, które pan zobowiązałeś się zapłacić w dniu zaślubieniu mej córki, jak tu na wekslu napisane? Dziękuję Panu Bogu, że mi lichwiarz ten weksel za podwójną wartość ofiarował!

— Czy pan sądzisz, ciągnął bankier spokojnie dalej, że byłbym spokojnie patrzał na to, jak się pan w domu moim zagnieżdżasz, gdybym chociaż iskierkę przychylności Marty ku panu był spostrzegł? Zaślepioną matkę, niedoświadczonego młodego porucznika możesz pan w pole wywieść, ale nie starego doświadczonego kupca; wywiadywałem się dokładnie o panu, panie hrabio Hallenburg; zielone stoliki w Homburgu aż nadto dobrze pana znają — nazwisko pańskie jest może jedyna pana prawdziwa własność!

Hrabia powstał z krzesła.

— Odchodzę rzekł z dumą. Zarzuty pańskie mało mię dotykają; wybaczam siwiźnie pańskiej, bo inaczejbym krwawej zażądał satysfakcyi. Nigdy już hrabia Hallenburg nie postanie w domu w pańskim, a dziś jeszcze opuści miasto, w którem na takie grubiańskie wystawiony jest inwektywy.

Z dumą wyszedł z bióra. Zwolna prze-

szedł przez kantor, podziwiany przez urzędników. Z uśmiechem na ustach wsiadł do eleganckiego powozu, który za nim czekał przed domem, ale w zamkniętym powozie zmieniła się twarz jego — w bezsilnej złości, w rozpaczliwej wściekłości zacisnął pięści i pogroził temu wspaniałemu gmachowi, w którym najświetniejsze jego nadzieje i plany zostały zniweczone, a w którym noga jego już nie miała postać.

Wieczorem tego samego dnia przyszedł Kirstner około godziny dziewiątej do pokoju bawialnego na herbatę. Wyjątkowym sposobem nie zastał gości; natomiast ujrzał twarz żony więcej zasępioną, jak zwykle, a nawet zwiędłe apatyczne oblicze porucznika zdradzało niezwykłe poruszenie, podczas gdy Marta starała się łzy ukryć przy wnijściu ojca. Bankier zbliżył się do niej, a rzucając gniewny wzrok na żonę i syna, zapytał z czułością:

— Ty płakałaś, Marto? Cóż ci jest? Kto ci krzywdę wyrządził?

— Dobrze tak! odezwała się matka z goryczą. Tylko ją rozpieszczaj i zawsze ją bierz w obec nas w obronę! Dziewucha jest uparta: nie uznaje naszej ku niej miłości, drwi sobie z rad matki i brata!

— A jakiemi radami chcieliście wy mądrzy ludzie ją uszczęśliwić? zapytał bankier spokojnie.

— Hrabia Hallenburg kocha ją, odrzekła żona, i czeka tylko, aby go do dalszych ośmieliła kroków, do formalnych oświadczeń. Ale dziewucha ślepa jest na swe szczęście, droży się i — —

— Marto, przerwał bankier żonie, Marto, kochasz ty hrabiego? Czy pragniesz tego, aby zostać hrabiną Hallenburg?

— Nie, ojcze kochany, Bogiem się świadczę, że nie, odrzekło dziewczę z uczuciem. Hrabia wydaje mi się jakoby połyskujący kamień, który olśniewa swym blaskiem, ale nie jest prawdziwym, jest bez wartości wewnętrznej.

— A ty pewnie uważasz się za tak kosztowną perłę, której tylko w książęcej koronie jaśnieć przystoi? szydził Edward.

— A więc zupełnie w twoją myśl postąpiłem, rzekł bankier spokojnie, nie zważając na słowa syna, gdy dziś po południu hrabiemu Hallenburgowi, który mi się o rękę twoją oświadczył stanowczo odmowną dałem odpowiedź, i przez zawiadomienie go o pewnym interesie na zawsze go z domu mego wyprosiłem.

Porucznik zaczerwienił się od złości, podczas gdy pani Kirstner podskoczyła z kanapy.

— Co? To zrobiłeś? zawołała namiętnie. Wyprosiłeś z domu, obraziłeś młodzieńca szlachetnego rodu, członka jednej z najpierwszych rodzin? Fe, wstyd i hańba! O czemuż to Laura baronówna Markward oddała rękę ordynarnemu łykowi!

— I ja nieszczęśliwy, że łyka ojcem nazywać muszę! dodał Edward jako echo matki.

Bankier pozostał zimnym, tylko łza zakręciła się mu w oku.

— Lauro, Edwardzie, rzekł z uczuciem, Bogiem się świadczę, że niesprawiedliwie mię sądzicie! Łyk ordynarny dla was pracował, dla was się mozolił, bezsenne przepędzał noce, podczas gdy żona jego na świetnych wieczorkach i balach odbierała hołdy, jako żona milionowego bogacza, a syn pieniądze ojca wśród rozpasanych orgii pełnemi garściami wyrzucał. A teraz gniewacie się na mnie, że dziecka mego nie chcę poświęcić dla człowieka, który nic nie posiada, tylko nazwisko swe i tytuł hrabiego, a który ten tytuł shańbił jako birbant i szuler! — —

— Ojcze, dosyć tego! krzyknął Edward. Hrabia Hallenburg jest moim przyjacielem.

— Twoim przyjacielem — ale nie moim! odparł bankier rozdrażniony. A wiesz ty też, że w moim ręku znajduje się weksel, który twój przyjaciel wystawił żydowi lichwiarzowi, aby go w dzień po ślubie posagiem twej siostry zapłacić? Tu masz dowód!

Porucznik zamilkł, gdy mu bankier przedłożył weksel hrabiego, ale Laura nie dała się tym dowodem przekonać.

— A chociażby tak było rzekła wzdrygając ramionami. Na co my mamy pieniądze? Czy wybryk młodzieńczy, grzeszek kawalerski tak wielką jest zbrodnią?

Wybrykiem młodzieńczym, powtórzył bankier, coraz więcej rozdrażniony, grzeszkiem kawalerskim nazywasz ty postępek łotra, który szachruje losem i szczęściem twej córki?

Pani Kirstner uśmiechnęła się szyderczo.

— Zabawnie brzmią morały w twoich ustach, rzekła z przyciskiem, bardzo ci z tem nie do twarzy! Spojrzyj tylko we własną przeszłość — czyś ty nic takiego nie popełnił, czegobyś nie żałował? Czy nic ci nie ciąży na sumieniu, czegobyś nie chciał pokryć jak najgrubszą tajemnicy osłoną?

— Lauro! Bankier był blady jak trup.

— Potępiasz młodzieńca, który żywił nadzieję, i okrutnie został zawiedziony; a jak ty tego nazwiesz, o którym świat sobie szepce do ucha, że aby zapobiedz własnej ruinie, przywłaszczył sobie grosz, który szczęśliwy los przeznaczył biedakowi — tak że ten nieszczęśliwy cierpi niedostatek, i sparaliżowany leży, jak Łazarz, podczas gdy ów bogacz opływa — —

Jak szalony rzucił się Kirstner na swą małżonkę; jakoby kleszczami żelaznemi ścisnął palcami jej ramię.

— Kobieto — kobieto — ani słowa więcej, bo biada nam obydwom!

Pomiędzy bezprzytomnego bankiera i krzyczącą matkę rzuciły się dzieci. Napad gorączkowy przeminął, a bankier bezwładny padł na krzesło.

Nastała chwila ciszy. Nikt nie śmiał się odezwać. Wreszcie bankier sam przerwał milczenie.

Powstał zwolna z krzesła—chwiejnym krokiem poszedł do drzwi przybocznego pokoju, roztworzył je szeroko, jakoby chcąc się przekonać, czy nikt nie podsłuchuje, potem zamknął drzwi i stanął tuż przed małżonką, która cofnęła się, przerażona dzikim wyrazem jego twarzy.

"Słuchaj mię, Lauro," głuchym rzekł głosem; „ponieważ tak okrutnie uchyliłaś zasłonę tego okropnego występku, za który bezustannie najboleśniej robak mię gryzie sumienia, podczas gdy ty bezmyślnie używałaś owoców zbrodni; ponieważ nielitościwie rozerwałaś ranę mego serca:—więc też teraz ze mną znoś ten okropny ciężar; na twoją głowę największą jego część składam. Ty byłaś tym szatanem, który mię skusił; sam z Martą byłbym zniósł ubóstwo z poddaniem się woli Bożej, i byłbym uratował mój honor — ale ty i syn twój bylibyście mi życie zamienili na piekło. Teraz bądź zarozumiałą na swoje miliony, Lauro! Zawdzięczasz je hańbie twego małżonka, a każdy dzień może zbrodnią wydać, bo pierwotny rewers, który wystawiłem staremu Gerhardowi, gdy ów szczęśliwy walor u mnie deponował, nie został zniweczony; ukradziono mi go wraz z innymi papierami, a ja całą stratę z uśmiechem znieść musiałem, bo gdyby policya była się wdała w sprawę i złodziejów wykryła, natenczasby się ów rewers dostał w niepowołane ręce— a jabym krwi serdecznej sobie upuścił, bylebym go tylko był mógł zniweczyć. Zsiwiałem przed czasem, przed czasem się zestarzałem; wspomnienie tego występku dręczy mnie—gdziekolwiek się obrócę, wszędzie stoi mi przed oczami jak zmora, i grozi mi sędzią doczesnym i strasznym sędzią wiecznym. O Boże! O Boże! Jedna chwila zbrodni, a wieczność kary i udręczenia!"

"I z tą okropną winą na sumieniu, nie pobiegłeś ojcze natychmiast do Gerharda, nie powierzyłeś jego wspaniałomyślności twego honoru?" zapytała Marta z zapałem. "Ach, ojcze, zaklinam cię, oddaj nieszczęśliwym to, co im zabrałeś; niech ci przebaczy na ziemi, dopóki jeszcze ten nieszczęśliwy ducha nie wyzionął, abyś i u Boga przebaczenia mógł się spodziewać!"

"To niepodobieństwem, Marto! Nie mogę się cofnąć, nie — —"

Głośny gwar w przedpokoju przerwał dalszą rozmowę. Kirstner zadrżał, porucznik zerwał się na równe nogi i otworzył na rozcież drzwi do bocznego pokoju, ale ten był próżny. Równocześnie otworzyły się drzwi przedpokoju i wszedł służący.

"Pozasłużbowy major Holm, nadzwyczaj pilny ma interes do pana Kirstnera," oznajmił, stojąc we drzwiach.

"Major Holm — nie znam go," rzekł bankier; "i o tej godzinie? — Niech przyjdzie jutro."

Służący wyszedł, ale za chwilę powrócił i oddał Kirstnerowi bilet. Bankier przeczytał.

"Jeżeli w Panu aby iskierka jest tej zacności i dobroci, która kiedyś była ozdobą rodu Kirstnerów, pozwól mi Pan kilka słów pomówić ze sobą; Gerhard umiera i chce się z panem widzieć."

Bankier zawachał się na chwilę — walka wewnętrzna malowała się na jego obliczu. Zwyciężyła wrodzona dobroć; powstał i wyszedł naprzeciw gościowi. I Marta wyszła z pokoju, aby się udać na spoczynek. Poczuła ogromną boleść duszy po tem, co przed chwilą usłyszała. Jestto okropne uczucie, przekonać się nagle o nieuczciwości ludzi, których szanowano jako nieskalanych: i najczystsze zwierciadło traci na tem, chociaż tylko jedna drobna plamka je zanieczyszcza.

Bankier zastał przyjaciela dawniejszego swego buchaltera niespokojnie chodzącego po pokoju. Stary major zbliżył się do bankiera

"Przepraszam, panie Kirstner, że przeszkadzam," rozpoczął major. "Jestem starym przyjacielem Tomasza Gerharda; byłem ongi w trudnem położeniu, z którego on mię w ten sposób wybawił, że panu zastawił austryacki walor państwowy, a mnie przyniósł pieniądze. W pół godziny potem wezwano mię do niego. Zastałem przyjaciela mego na łożu boleści, sparaliżowanego na ciele i umyśle: — wzrok tylko jego przemawiał i świadczył o niezmiernej boleści jego duszy. Od czterech tygodni stan jego coraz się pogarszał; dziś jednakże z rana obudził się dziwnie pokrzepiony. Język zaczynał się rozwięzywać, a nazwisko pańskie było pierwsze słowo, które wymówił; im więcej dzień zbliżał się ku wieczorowi, tem większe objawił pragnienie widzenia się z panem. Lekarze orzekli, że tej nocy nie przeżyje; czy pan możesz być głuchym, panie Kirstner, na błagania umierającego?"

Bankier mocno zaniepokojony chodził po pokoju.

"Ja miałbym iść do Gerharda?" rzekł zatrwożony; "czego pan żądasz odemnie? Mam iść do człowieka, który mi zarzucił — zbrodnię?"

"Ależ on pragnie widzieć się z panem, panie Kirstner! Zaręczam panu: ani ja, ani Emil, syn jego, nie będziemy świadkami tego, co ze sobą mówić będziecie. Nie chciej pan, aby ten nieszczęśliwy umarł bez tej ostatniej pociechy. Albo czy pan obawiasz się stanąć przed umierającym w obec wiecznego sędziego, który tajniki serc przenika?"

'Niech i tak będzie," zawołał Kirstner "pójdę do niego. Niech nie powiedzą, że daremnie się udawano do szlachetności Kirstnera. Natychmiast każę zaprządz i pojedziemy razem."

W kilka minut potem pojechał bankier w jednym ze swych powozów na przedmieście.

* * *

Podczas gdy po wyjściu bankiera do przedpokoju, pani Kirstner i porucznik najokropniej upokorzeni sami pozostali w pokoju, wchodziła Marta na drugie piętro do swoich pokojów. Na schodach spotkała Zosię, z wielkim pośpiechem schodzącą na dół. Służąca widocznie się przestraszyła, i w prędkości schowała papiery. które trzymała w ręku.

"Muszę się zaraz położyć, Zosiu," rzekła Marta, nie zważając wcale na dziwne zachowanie się dziewczyny; "skoro się położę, nie będę cię już potrzebować."

Z widoczną niechęcią nawróciła się Zosia, poszła z panną do pokoju i pomagała jej przy rozbieraniu.

Fontaź upadł na ziemię, a Zosia pochyliła się, aby go podnieść, przy tem pospiesznem poruszeniu się wypadł jej z pod kaftanika papier, czego dziewczyna wcale nie spostrzegła.

W przedpokoju odezwał się głos pani Kirstner.

"Czy już jesteś rozebraną, Marto?"

Marta zupełnie prawie jeszcze ubrana otworzyła drzwi i dała Zosi znak, aby się oddaliła, co też ta z widoczną uczyniła radością.

"Marto," — rozpoczęła matka z taką serdecznością, do jakiej dziewczę wcale nie przywykło, — "Marto. przeżyliśmy chwilę okropną; co się stało, odstać się już nie może, a jeżeli to prawda, że ów rewers który ojcu wraz z innymi papierami skradziono, może kiedyś być jego oskarżycielem, natenczas musimy o to się starać, aby sapobiedz możliwej katastrofie. Marto, ojciec kocha cię bez granic i nie oprze się twoim prośbom; namów go, aby bank swój zlikwidował — miasto z nami opuścił

(Dokończenie nastąpi).

W. BOGUSŁAWSKI.

CUD

CZYLI

KRAKOWIACY I GÓRALE

W TRZECH ODSŁONACH.

(Ciąg dalszy).

Bardos.

Nie, to nie wypada.
Trzeba koniecznie takie miejsce przysposobić,
Żeby tam młynarzowi zajrzeć wypadało.

Stach.

To ja wej w nasą wiezbę schowam się spruchniałą,
On tam co chwila patsy cy się nie wróciły
Pscoły, co wej psed rokiem ul w niej pozuciły.

Bardos.

A gdzież ta wierzba stoi?

Stach.

Psed nasemi drzwiami.

Bardos.

A czy się ty tam zmieścisz?

Stach.

Nieras tam we dwoje
Siadywaliśmy z Basią.

Bardos.

Więc ja, tam rzecz moją
Zrobię, Słuchaj, z Dorotą gdy będziecie sami,
Gdy cię ona już ściskać i całować zacznie,
Ja wtenczas przyprowadzę młynarza nieznacznie,
Ty się czemprędzej wierzbie schowaj, on zobaczyć
Zechce pszczoły, lecz ja mu będę tak majaczyć,
Że do tego nie przyjdzie. — Jednakże Dorota,
Bojąc się, by nie wyszła na wierzch jej niecnota,
Tak się w sobie natrwoży, napłonie, nadręczy,
Że ją to może wstrzyma, a może odstręczy.

Stach.

A jak tam młynas zajzy?

Bardos.

Ja to na się biorę.

Stach.

Ba, Waspan nie odlepis gdy ja wezmę w skórę.

Bardos.

Daję ci słowo moje.

Stach.

Spuscam się więc na cię.

Bardos.

Ależ to trzeba prędko zrobić miły bracie,
Bo po ślubie już nie czas, kto wie, jakie tobie
Mogą potem przyjść myśli.

Stach.

Więc to zaras zrobię
Jak tylko przyjdziem do dom.

Bardos.

Dobrze.

Stach.

Wiem, ze ona

Psyleci zaras do mnie, jak ognista łuna,
I będzie mnie ćmokała.

Bardos.

Więc walnie uda się.

Stach.

Teras WPana zegnam, pójdę do mej Basie,
Bo wej tęskni bezemnie.

Bardos.

Jedno słowo jeszcze:
Powiedz mi, ale szczerze, te wszystkie zaloty
Młynarki, nie wzniecając w twem sercu ochoty
Do zdradzenia twej Basi?

Stach.

Wsak ja zawse wzesce,
Kiej mię Dorota ściska.

Bardos.

Ale czasem może?

Stach.

Nigdy.

Bardos.

Słowo?

Stach.

Psysięgam.

Bardos.

Szczęśćże ci więc Boże,
Poczciwy chłopcze!

Stach.

Jus ja nie zgorsę się z tego,
Ze zadko widzieć w świecie męza poćciwego.

ŚPIEWKA.

Nie tajnoć to jest nikomu,
Jak męzowie zonki zwodzą,
Tej nie lubią, co jest w domu,
I często do innych chodzą.

Ale tes za swoje mają,
Bo pobocne marmuziele
Tak im głowy psystrajają,
Ze chodzą kieby daniele.

Tak zazwycaj bywa w świecie,
Wet za wet, darmo nic nie ma,
Zrób jeden figiel kobiecie,
Ona ci odpłaci dwiema.

Ja więc nie chcę zdradzać zonę,
Bo chcę, aby mnie kochała,
Aby mnie jednego miała,
A ja tylko jedną onę.

(Odchodzi, pokłoniwszy się studentowi.)

SPRAWA VI.

Bardos *(sam patrząc za nim.)*

Bardos.

W tym wieku, jeszcze tylko wzór prawdziwej cnoty
U nieskażonej można oglądać prostoty!
Rzadka para, by teraz kochała się wiernie.
O! jak ich uszczęśliwić pragnąłbym niezmiernie.
Ale mi jeszcze Basię przekonać zostaje,
Że Stach jest dla niej wierny. Dobry mi podaje
Sposób ta wierzba; muszę z nią pierwej pogadać,
Ażeby, co też myśli o Stachu, wybadać.
Ale czy mi się zdaje, tak, ona tu bieży.

SPRAWA VII.

Bardos i Basia.

Basia.

Cy nie ma tutaj Stacha! azem się zdysała.

Bardos.

Dopiero co tam poszedł.

Basia.

A tom się musiała
Z nim minąć.

Bardos.

Czy tak tęsknić bez niego należy?
Całaś w znoju.

Basia.

Ej! nic to.

Bardos.

Lecz tak biegać szkodzi.

(Ciąg dalszy nastąpi).